

Nr. 18. Poznań, dnia 3 Maja 1879. Rok II.

Trzy nieznane artykuły
Zygmunta Krasińskiego.

I. *Myśli Polaka przy górze Mont-Blanc.**)

Słońce było za mną, i za jedną z gór Jurańskiego pasma, która okryta czarnemi sosnami i opasana wstęgą śniegu, wydawała się jak trumna, bladym całunem otoczona, i już mojéj głowie grożąca, Tymczasem przedemną wznosił się niebotyczny Mont-blanc w czasie wiecznéj zimy, urągając się dyamentowemi lodami, ze wszystkich promieni wiosennego nieba.

Witam cię góro! witam cię nieśmiertelności obrazie na ziemi przeznaczonéj zagubie! Ty jedna wśród zieleniejących się gajów, wśród złotych żniw lata i pomieszanych farb jesieni stoisz niewzruszona i nieodmienna, jak bohatyr którego duma nie zniża się do śmiertelnych i nie pozwala twarzy wydawać pomieszania i cierpień duszy.

Oh! witam cię Mont-blanc! — przez długie lata pragnąłem ujrzeć twoje poważne i milczące czoło, podobne do grobowca, i widzieć twój orszak złożony ze skał, zdających się cichą cześć ci składać w głębokiem poszanowaniu. Ty jeden wylatując nad krańce ziemskiéj wielkości, pysznym wierzchołkiem roztrącasz fale błękitów. Panujesz nad wszystkiem co cię otacza, jako Pan wszechmocny, w płaszczu purpurowym, uwitym z ostatnich dnia gasnącego promieni. Przykuty do ziemi, zdajesz się jednak należeć do nieba. Równina u stóp twoich, oświecona słońcem żegnającem się z światem, zdaje się być oceanem ognistym, nad którym królujesz podobny do piramidy z marmuru, postawionéj na wieki Wszechmocnego ręką, dla ludzi błądzących po ziemi przestworzu. Za mną ponura ciemność otacza przepaście i urwiska, nad któremi rosną posępne lasy, jak wijące się bluszcze w około grobowców cmentarza.

Już nie zdołam dojrzeć słońca, ale przedemną jego promienie igrają na wierzchołku Mont-blanc, jak wspomnienia ubiegłych rozkoszy; fale błękitu tłoczą się w około, podobne do bałwanów morza, konającego u nadbrzeżów srebrnéj wyspy. Duch Twórcy unosi się nad tą krainą i jego ręka wyryła na opoce Mont-blanc nadzieję nieśmiertelności. Oh! jeźli ziemia tyle ma uroku, jeźli ogromy prochu zmieszane z kłębami śniegu, zdolne podnieść tak wysoko uczucia człowieka, i oderwawszy myśl od kurzawy rzucić ją pomiędzy niebios przestrzenie, jakże wyższemi muszą być marzenia duszy. Zdaje mi się w téj chwili, że Mont-blanc jest świetnym korabiem, na który rzuca się moja dusza, dla przepłynienia nieskończoności chwały Wszechmocnego. Opasujące go skały rosną stopniowo, dopóki nie zbliżą się do swojego monarchy, a wtenczas schylają czoła, jakby z żalu że nie mogły dosięgnąć nadprzyrodzonéj wielkości.

Ale już cienie pochłaniają światło, niewiele już mi chwil zostaje do ubóstwiania téj natury, tak wywyższonéj nad pospolite czucia ludzkości. O słońce! dobądź sił ostatnich i zaléj równinę promieńmi. O góry! ożywcie się dla mnie!... pożyczcie głosu od szumu waszych potoków i od grzmotu śniegowych zamieci!..... Mont-blanc! odpowiadaj na moje wołanie! Czyś bliższy nieba od mojego umysłu?... czyż tonie wieczności stoją otworem przed tobą?... lub czy gwiazdy zakochane w białéj szacie twoich wierzchołków, zostawiły wraz z promieńmi tajemnice niebios na niedostępnych twych śniegach?.. Milczysz!.. boś za nadto dumny, abyś się miał zniżyć do mowy śmiertelnych!...

Coraz czarniejsze otaczają mię cienie. Różane gór barwy konają powoli w nienawistnych uściskach ciemności. Odwracając się dostrzegam tylko ponurą Jurańską opokę, która zdaje się mnie przestrzegać, że wszystko na ziemi kończy się prochem. Drzewa jéj, chyląc się ku mojéj głowie, poruczają wiatrom szelest liści, podobny do odgłosu śmierci: — domagałem się odpowiedzi od piękności i od światła, i nie otrzymałem żadnéj, nie rzekłem słowa do ciemności i zaguby, a jednak powiew wieczora przyniósł mi ich odpowiedź.

*) Z. Krasiński zbyt jeszcze mało jest znany naszéj publiczności. Ztąd uważamy sobie za zasługę, wyrywając ze zapomnienia trzy urywki jego pióra. Absolutnéj wprawdzie pewności, że są napisane przez Krasińskiego nie mamy, atoli zdaje się być pewną rzeczą, że tylko on jest autorem tych artykułów. Dowody na poparcie tego twierdzenia podamy późniéj. W każdym razie „*Myśli Polaka przy górze Mont-Blanc* są tak napisane, że i pióru Krasińskiego nie przyniosą uszczerbku. Sądzimy, że przez ogłoszenie tych artykułów ostatecznie rozstrzygnie się sprawa ich autorstwa.

WSPOMNIENIE STUDENTA.

Gawęda.

Opowiedział
Tadeusz Zaremba.

Było to w pierwszych dniach grudnia....

Na dworze powoli zmierzchało.

Pędzone gwałtownym przeraźliwie wyjącym, wiatrem z zachmurzonego nieba spadały na ziemię gęste tumany śniegu. Z każdą chwilą wiatr stawał się silniejszym. Zdawało się, że drzewa uginające się pod jego ciśnieniem, padną z korzeniami wyrwane.

Przy wysokim kominie, na którym wesoło trzaskały płonące dębowe polana, wyciągnięty w staroświeckim, skórą obitym fotelu, miękkim i wygodnym, jak gniazdko, wygrzewałem się z rozkoszą i, bądź z przymkniętemi oczami, słuchałem śpiewu wiatru w kominie, z którego pracująca fantazya umiała wysnuć najdźwięczniejsze melodye, poważne chóry lub solowe śpiewy, bądź też dokoła rzucałem spojrzenia.

Ogień słabo oświecał dość obszerny salon, na ścianach którego wisiały mnogie ciekawie z ram wyglądające, typowe głowy albo portrety członków mojéj rodziny. Wszystkie te postacie zdawały się na mnie patrzeć, a po chwili, zawsze dzięki rozbujałéj fantazyi, zstąpiwszy z ciasnych ram swoich, poczęły się ruszać i przechadzać lekko po posadzce suwając nogami. Pradziad podawał rękę Jokondzie, babka wziąwszy na stronę starego flamandczyka z nasuniętym na brwi kapeluszem, zdawała się o bardzo ważnym przedmiocie żywą z nim toczyć dyskussyję; daléj Tilly przechadzał się z włoskim *lazzarone*, a za nimi sunęła czarnobrewa odaliska zwieszona na ramieniu jakiegoś niemieckiego żołdaka.... Wszyscy najrozmaiciéj ugrupowani żyli, ruszali się, rozmawiali jakby aktorowie na scenie przed podniesieniem kurtyny.

Ciekawie na nich patrzałem; wiatr daléj w kominie przygrywał, aż w końcu, szeroko usta rozwarłszy, poczęły mu towarzyszyć wszystkie przechadzające się po pokoju postacie. Śpiewanie ich było dziwaczne, czasem dzikie, ale zawsze smętne i pełne poważnych melodyj. Gdybym był miał wtedy papier i pióro pod ręką, byłbym wspaniałą muzyczną pamiątkę potomności zostawił. Ale bałem się ruszyć, aby nie spłoszyć śpiewaków. Przytrzymawszy oddech, słuchałem i patrzałem....

Nagle wszystko ucichło, a po chwili dał się słyszeć nieprzyjemny głos mego służącego Iwana.

— Herbata na stole, — mówił.

Oglądnąłem się w koło.

Przodkowie i charakterystyczę postacie już na miejscu w swych ciasnych ramach siedzieli. Nawet zgrzybiały flamandczyk w kapeluszu na głowie potrafił się bez trudu na swoim ćwieku zawiesić. Odaliska usiadła na jedwabnéj sofie a żołdak niemiecki zdaleka tylko na nią czule spoglądał.

Począłem w duchu służącego przeklinać.

— Oto gbur! — myślałem. — Wszystkich porozpędzał.

— Proszę do stołu — powtórzył Iwan.

Dobrze.... dobrze.... idź sobie....

Spojrzał na mnie ciekawie i wyszedł z pokoju. Nie zaręczyłbym za to, że za drzwiami ramionami nie ruszył.

Zegar na kominku stojący wskazywał siódmą godzinę. Jakże czas prędko przeleciał!... O czwartéj z polowania wróciłem.

— Trzema godzinami mniéj życia na tym świecie, — myślałem wyciągając się w fotelu. — Przeleciały jakby chwila.

I przypomniałem sobie dawną historyą o młodym mnichu, który puściwszy się w pogoń za pięknym ptaszkiem, wyszedł z klasztoru i jako zgrzybiały starzec do niego powrócił nie wiedząc nawet o tem, że dziesiątki lat biegał za ptaszkiem, tak mu czas ten krótkim się wydał.

Skorzystałem z przypomnianéj legendy, aby trochę nad nią podumać, a przez to samo nie zaraz jeszcze się wyrwać z safianowych ramion wygodnego fotelu.

O, czytelniku! Jeśliś czynny, to nigdy nie siadaj w fotelu przy ogniu... Szkoda czasu, bo ci w nim godziny niepostrzeżenie przelecą.

Tymczasem mój Iwan lekkiem w sali jadalnéj chrząkaniem przypomniał się mojej pamięci. Trzeba było kominek porzucić. Zebrawszy całą energię, która mnie nigdy nie opuszcza zupełnie, powstałem z dziadowskiego fotelu, nie patrząc na ogień, aby nie mieć żadnych pokus, skierowałem się ku drzwiom do sali jadalnéj wiodącym. Tam mnie miły czekał widok:

Nad krągłym stołem, przykrytym białym obrusem, zawieszona na suficie jasno paliła się lampa. W kącie pokoju gniewał się wielki miedziany samowar i nieustannie miotał jakby przekleństwa, wypuszczając z siebie kłęby przezroczystéj pary. Obok niego, wyciągnięty jak struna, nieruchomie stał Iwan.

Już miałem zasiąść do stołu, gdy do moich uszu doleciał dźwięk pocztowego dzwonka.

— Ktoś zajechał, — zawołał Iwan i spiesznie wybiegł do przedpokoju.

Serce mi żywiéj zabiło. Oddawna nie widziałem ludzkiéj twarzy. Nieliczni sąsiedzi z początkiem jesieni rozjechali się do miast lub za granicę. Od dwóch miesięcy pozostawałem samotny jak pustelnik w mało rozrywającem towarzystwie Iwana i kilku chartów, które mogłem tylko za domem widywać, gdyż im wstęp do pokojów był srodze wzbroniony dla bardzo ważnych powodów.

Serce zatem żywiéj we mnie zabiło. Nadzieję powitania gościa zawsze miłe budzi uczucia w każdem polskiem sercu.

Iwan wkrótce powrócił.

— Jakiś pan... — rzekł wchodząc — jedzie z Wołynia.

— Jak się nazywa?

— Nie wiem... nie mówił...

— Proś go.. proś zaraz tutaj, — zawołałem. — Rzeczy jego zaniesiesz na górę — do zielonego pokoju.

Iwan znów wybiegł, a ja począłem wpadać na rozmaite domysły, dotyczące osobistości przybyłego gościa. Miałem i krewnych i licznych znajomych na Wołyniu, ale, kto z nich raczył sobie o mnie przypomnieć, odgadnąć nie mogłem.

Tymczasem gość wchodził do pokoju i prosto się do mnie skierował z wesołym uśmiechem na twarzy.

Badawczo na niego spojrzałem.

Mógł mieć lat przeszło trzydzieści. Ubrany był starannie, gustownie lecz bardzo przytem skromnie. Rysy twarzy miał bardzo sympatyczne, chociaż go raczéj brzydkim można było nazwać. Była to dystyngowana brzydota.

Zupełnie z mego gościa zadowolony łamałem sobie głowę napróżno, aby odgadnąć, czy go gdzie kiedykolwiek widziałem.

— Nie poznajesz mnie? — zapytał z uśmiechem i podał mi rękę.

Ścisnąłem ją, mówiąc:

— Nie... nie poznaję... — i począłem mu się pilnie przypatrywać.

— Jestem w tym samym wypadku, — wyrzekł gość, bo chociaż wiem, kim jesteś, nie mogę sobie twojéj twarzy przypomnieć. Niema wtem nic dziwnego. Dawnośmy się nie widzieli. Dziś znamy się więcéj z listów niż z twarzy. Kiedyś z sobą kolegowaliśmy.

— Henryk! — zawołałem z pewnem jednak wahaniem. — W takim razie bardzo się odmieniłeś.

— Nie.. Henrykiem nie jestem. Henryka znałeś późniéj... w Berlinie.

— Józef! — wykrzyknąłem — Józef! Teraz ciebie poznaję! i rzuciłem się w objęcia gościa.

— Rzeczywiście, — mówił ściskając mnie. — Teraz odgadłeś. Skoro już siebie znamy, proś mnie, bym usiadł i poczęstuj mnie czemkolwiek, bo bardzo jestem głodny.

— Siadaj! siadaj! — wołałem. — Iwan! talerz dla pana!... krzesło!.. Niech kucharz co sporządzi... spiesz się!.. powiedz, aby kąpiel była gotowa na dziesiątą... rozumiesz... biegaj... Rzeczy znieść do zielonego pokoju.

I ja i Iwan poczęliśmy biegać wkoło sali, aż, widząc w końcu, że to do niczego nie przyprowadzi, kozaka z rozkazami za drzwi wyrzuciwszy, uspokoiłem się nieco i usiadłem przy stole obok Józefa.

Od lat przeszło piętnastu nie widziałem go a choć często z sobą korespondowaliśmy, listy nigdy nie mogły osobistego widzenia się zastąpić. Nic więc dziwnego, że w pierwszych chwilach radości zupełnie głowę straciłem. Poznałem Józefa jeszcze w Odesie, gdzie, przez lat kilka z rodzicami mieszkając, do szkoły chodziłem. Dwa lata z nim w ścisłej spędziłem przyjaźni poczem go pewnego dnia ojciec wywiózł z Odesy, i od téj pory już go nie widziałem. Z początku zupełnie straciłem go z oczu, lecz w parę lat potem odszukał mnie w Berlinie list jego i zawiązała się między nami nieustająca korespondencya, która podziwnemu zawartą przyjaźń ustalała ją z dniem każdym, coraz ją ściślejszemi węzłami spajając.

Naturalnie, w pierwszéj chwili nic mu nie potrafiłem powiedzieć. Patrzałem tylko na niego, jak z apetytem zmiatał z talerza.

— Wiesz co?... — rzekłem wkońcu, — gdyby nie to, żeś się tu zjawił, byłbym do ciebie wpadł téj zimy znienacka. Nie lubię się ruszać po naszych drogach, ale potrzebowałem zobaczyć jakąś twarz przyjacielską. Tutaj nikogo nie widuję odkiedy zimna nastały. Wszyscy jakby bociany rozlecieli się w różne strony.

— Powinieneś był dawno sobie o przyjacielu przypomnieć. Jesteś wolnym.. zupełnie wolnym, a ja mam obowiązki... mam żonę, dzieci.... Nie uśmiechaj się tak ironicznie.. wiem, co myślisz. Tobie się zdaje, że żona i dzieci są dostatecznym powodem do uciekania zpod domowéj strzechy. Mylisz się przyjacielu. Ja tego jestem dowodem; oddaliłem się na kilka dni z domu, a już mi za nim tęskno.

— Moim zatem będzie obowiązkiem zastąpić ci dom, żonę i dzieci, — odparłem. — Postaram się o to, byś o nich zapomniał i jak najwięcéj czasu u mnie przepędził.

Po skończonéj kolacyi przeszliśmy do salonu i tam się ulokowaliśmy przy ogniu. Iwan kilka polan do kominka wrzucił, poczem nas samych zostawił.

— Prawda, jak tu dobrze? — zapytałem Józefa. — To mój najulubieńszy kąt. Tu odpoczywam po trudach, a trzaskający ogień najciekawsze mi czasem opowiada historye, ale je dzisiaj z radością dla ciebie zarzucę. Mamy dwie długie godziny przed sobą, bo cię przedtem do kąpieli nie puszczę. Trzeba ten czas przegawędzić sumiennie a potem cię dopiero powierzę spienionym nurtom wanny... Plotek, rozstrząsania i sądzenia cudzych czynności nie lubimy, gdyż mamy pretensye należenia do rzędu osób wyższą obdarzonych inteligencyą. Jesteśmy umysłowymi góralami, a zatem nowinki pozostawimy mieszkańcom nizin i płaszczyzn. Uczone dyskussye, lub polityczne rozumowania, na nic się nam nie zdadzą, a pogadanka o gospodarstwie wcaleby tu na miejscu nie była, gdyż my, gospodarze, winniśmy odpoczywać jak nasza karmicielka — ziemia, spoczywająca teraz pod śnieżnym całunem. Zostaje myśliwstwo... Jeden drugiemu będzie opowiadał swoje przygody, aż przekonamy się wreszcie, że szkaradnie kłamiemy... jak na dobrych myśliwych przystoi...

— Z tego wszystkiego wnioskuję, że nam milczeć wypadnie, — rzekł, śmiejąc się, Józef.

— Nie, nie, — zawołałem, — mam inny projekt. Czy pamiętasz twój nagły wyjazd z Odessy?... Wiem, że go spowodowała jakaś ciekawa historya, bo ludzie coś sobie o niéj szeptali... Opowiedz mi tę historyę, Józefie.

Józef uśmiechnął się w milczeniu.

— Nie chcesz?... — zapytałem z pewnym niepokojem. — Czyżbyto była historya, któréjbym nie miał prawa usłyszeć?... Przepraszam cię za moję niedyskrecyę.

— Owszem, — rzekł Józef, — nie ma tam żadnych tajemnic... Zkąd tobie przyszła ochota słuchania tych dawnych dziejów?... Nic tam ciekawego nie znajdziesz... Zwyczajna studencka miłostka... rozpaczania, marzenia....

— Ach! proszę cię, Józefie!.. opowiedz!... Ty sobie nie wystawiasz, jak mnie to zaciekawia. Pamiętam, jakby dziś, dzień, w którym się dowiedziałem, że cię nagle z Odessy zabrano... pamiętam jakieś szepty, ruszania ramionami... Już wtedy ciekawość mi nie dawała spokoju. Dzisiaj się rozbudziła. Wszystko, co jest opowiadaniem, szczególnie, gdy w niem miłość pewną gra rolę, zawsze mnie żywo zajmuje. Nie uwierzysz, do jakiego stopnia jestem pod tym względem dziwakiem. Czasem, gdy się nudzę, a czytać mi się nie chce, poszlę na wieś po babę znachorkę i ta mi za parę kieliszków wódki całemi godzinami opowiada jakieś legendy i baśnie o czułych kochankach, djabłach, czarownicach i ukrytych skarbach. Gdy tylko się we wsi ukaże jaki dziad — lirnik dążący na odpust, zaraz go do mnie prowadzą i ten także musi mi bajać — zapewne w twojéj historyi djabły i czarownice żadnéj roli nie grają, ale natomiast będziesz mi opowiadał o miłości, o téj pięknéj, czystéj, niewinnéj miłości dziecka jeszcze, któremu się zdaje, że już jest człowiekiem, bo kocha i cierpi... Józefie... zaklinam cię, opowiadaj.

Józef śmiał się.

Takie to już dawne dzieje, — rzekł po chwili, żem połowę zaszłych wydarzeń już musiał zapomnieć. Nadto w mojem opowiadaniu nie znajdziesz téj spodziewanéj świeżości uczuć, jakiemi wtedy pałałem. Dawniéj byłbym umiał

barwnie tobie moją miłość opisać; dziś chyba tylko same suche fakta, streścić potrafię.

— Słucham zatem faktów, — odparłem uporczywie. — Opowiadaj, Józefie.

— Słuchaj więc:

* * *

Miałem lat czternaście, gdy mnie rodzice oddali do szkół do Odessy. Dobrze w domu przygotowany — świetnie zdałem egzamin i wstąpiłem do szkoły. Profesorowie mnie lubili, co kwartał posyłałem rodzicom dobre cenzury i wszystko szło jak najlepiéj; oni cieszyli się tem, że dobrze się uczyłem, a ja, wesoło pracując, dążyłem do tego, aby się jeszcze lepiéj uczyć, pomny będąc na przestrogi ojca i zachęcany przez zacnych profesorów.

Mieszkałem na stancyi u Polaka, profesora matematyki. Nie mogę się na niego ani na jego żonę uskarżać, gdyż bardzo byli o mnie troskliwi, i karmili doskonale.

Oprócz mnie mieszkało u nich kilku młodych ludzi; wszyscy byli starsi odemnie. Mało wybredni w doborze towarzystwa całe niedziele w mieście spędzali, a powróciwszy do domu często opowiadali sobie swoje przygody, namawiali mnie nieraz, abym się do nich przyłączył, ale instynktownie od nich stroniłem tłumacząc się zawsze jakąś wizytą albo obiadem. Dla zachęty, zwyczajnie jak młodzi, przesadzali w swoich opowiadaniach, przechwalali się starając się w najbarwniejszych kolorach wystawić mnie swoje rozrywki. Połowy tego, co mi mówili, nie rozumiałem, lecz mimowoli od nich stroniłem, bałem się ich. Nie szczędzili mi żartów, dokuczali mnie w różny sposób, lecz w końcu dali mi pokój przezwawszy mnie „dumnym arystokratą."

W ten sposób upłynęły dwa lata — dosyć jednostajnie, bo tylko w czerwcu na dwa miesiące wyjeżdżałem na Wołyń, a zresztą nie opuszczałem Odessy. Co roku przechodziłem z klasy do klasy, wszyscy się z tego cieszyli, a ja najbardziéj, widząc radość moich rodziców.

Miałem już lat szesnaście.

Nadeszły święta Wielkanocne bardzo w tym roku spóźnione. Za mało było czasu, aby módz wyjechać na Wołyń. O kolei żelaznéj jeszcze nie miano wyobrażenia w Odessie i podróż do domu trwała kilka dni, czasem tydzień, gdy drogi były niedobre. Zostałem w mieście, a nie chcąc w bezczynności przemarnować całych dwóch tygodni, wziąłem się do książek i począłem zawczasu przygotowywać się do oczekujących mnie w maju egzaminów.

Już dawno były śniegi zniknęły, słońce od kilku tygodni wesoło świeciło na jasnem, czystem niebie, a pola już się zieleniły dokoła. W martwym przez parę miesięcy, odeskim porcie wszystko znowu żyło, ludzie ruszali się jak mrówki, na okrętach rozpinano długo spoczywające żagle, a szeroka morska zatoka zasiana była mnogiemi rybackiemi łodziami, kołyszącemi się na przezroczystych wodach.

Często chodziłem na bulwar ciągnący się nad brzegiem przystani, z którego rozciągał się obszerny widok dokoła. Tam, na ławce usiadłszy, godziny całe spędzałem bądź patrząc na ożywiony port, bądź też przerzucając kartki jakiéj szkolnéj książki, bez któréj z domu nie wychodziłem.

Nigdy nie zapomnę tych chwil na bulwarze spędzonych. Powietrze było pełne wiosennych zapachów, wszystko zdawało się odżywiać i nowe świeże przyoblekać szaty. Jedne tylko akacye, rzędami na ulicach Odessy rosnące, jeszcze martwe, zziębnięte bały się swoich listków na niepewne, kwietniowe powietrze narażać, czekały maja, w którym dopiero ważą się zieleń przyoblekać.

Co dzień około południa na bulwarze roiło się mnóstwo osób różnych stanów, towarzystw i narodowości. Języki były pomięszane jakby na wieży Babel.

Słyszałeś urywki włoskiéj, greckiéj, tureckiéj mowy. Dolatywały cię francuzkie, niemieckie, angielskie frazesy. Nie było zda się kraju w Europie, któregoby przedstawiciela nie można było na bulwarze znaleźć. Kto żył, tutaj przychodził, by napić się trochę wiosennego powietrza, aby na morze i słońce popatrzeć. Wszyscy, a szczególnie damy, za przykładem całéj natury zmienili grube, zimowe ubiory, by przywdziać lżejsze, jasne, wesołe...

Szelest jedwabnych sukien, głośne rozmowy odrywały moję uwagę od książki. Więcéj też wtedy patrzałem.

Pewnego dnia, jak zwykle na mojéj ławce usiadłszy otworzyłem historyę powszechną Webera i począłem pilnie studyować dzieje trzydziestoletniéj wojny. Jeszcze było mało osób na bulwarze, — miałem przeto nadzieję że mi nic w mojem zajęciu przeszkadzać nie będzie.

Inaczéj się stało.

Ledwom pierwszą kartkę przewrócił a już myśli moje daleko od książki odbiegły. Cała moja uwaga była zwrócona na dwie damy ku mnie się zbliżające. Jedna z nich była już niemłoda, brzydka, otyła, niesympatyczna. Wyglądała dosyć ordynarnie i ciężko, niezgrabnie przestępowała z nogi na nogę. Obok niéj szła młoda dziewczyna mogąca mieć lat ośmnaście. Uderzała zdaleka kształtną figurą, rysami twarzy, którychby jéj pozazdrościła najwybredniejsza dama, i dziwnym, jasnym kolorem włosów. Obie panie były bardzo skromnie, nawet ubogo, ubrane. Suknie ich były wyszarzane, ale czyste. Strój młodéj dziewczyny zdradzał w sobie wiele dobrego smaku, co mnie zaraz najlepiéj dla niéj usposobiło.

Gdy już były przy mnie, starsza dama zatrzymała się.

— Siądźmy tu, — rzekła do towarzyszki po polsku.

— Ciociu... tam daléj jest ławka zupełnie swobodna, — odparła zagadniona.

— Bardzo jestem zmęczona... Tu się pomieścimy... — To mówiąc ciotka przy mnie usiadła. — Siadaj — dodała — patrząc na siostrzenicę.

Po chwili obie, nie zdając się żadnéj na mnie zwracać uwagi, poczęły dość żywą toczyć rozmowę. Mówiły z początku o wiośnie, o morzu, a w końcu o jakimś nauczycielu muzyki.

— Ciociu... ja go nie kocham, — powtarzała, młoda dziewczyna. — Ja pójść za niego nie mogę.

Przykre było moje położenie, gdyż nie wiedziałem co z sobą począć. Należało bądź damy uprzedzić o tem, że rozumiałem po polsku, bądź też odejść i na innéj ławce szukać przytułku. Od pierwszego kroku powstrzymywała mnie moja nieśmiałość, a odejść żadnéj nie miałem ochoty, gdyż mnie piękność młodéj panienki przykuwała do miejsca. Nie mogłem, nie miałem siły, by oczy od niéj oderwać. Zostałem, wzrok w nią utkwiwszy, a niespokojnie sumienie poczęło mi moję słabość wyrzucać.

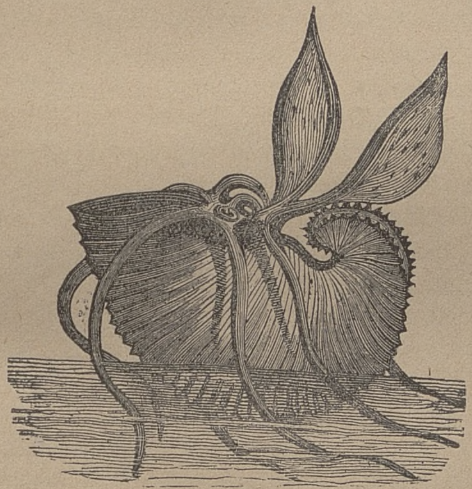
Tymczasem rozmowa nie ustawała. Daléj obie damy o nauczycielu muzyki mówiły, — starsza natrętnie, uporczywie, a młodsza — z widoczną niechęcią. Ciotka chwaliła zalety muzykusa, a przedewszystkiem rozpływała się nad ilo-



Kozodój.



Albatros.



Argonauta.



Ludojad.



Piszczałka morska.

Kilka ciekawych a rzadkich zwierząt.

ścią lekcyi, których w mieście udzielał; siostrzenica głową ruszając z łagodnym uśmiechem powtarzała, że go nie kocha i nigdy jego żoną nie będzie.

— Wolisz zatem nędzę! — cierpkim tonem wyrzekła zniecierpliwiona ciotka. — Od dawna żadnéj nie masz roboty, po lekcye nikt się do ciebie nie zgłasza... Zapomnieli o nas ci, którzy się dotąd nami opiekowali. Jaka nas oczekuje przyszłość?.. Wiesz przecie że w domu nie ma pieniędzy.

Pomimo całéj przyjemności jaką znajdywałem w patrzaniu na piękne, urocze rysy młodéj dziewczyny, opamiętałem się w końcu... Nie miałem prawa dłużéj na mojem miejscu zostawać i słuchać cudzych tajemnic. Powstałem z ławki i, raz jeszcze na piękną nieznajomą tęskne rzuciwszy wejrzenie, oddaliłem się wolnym krokiem Nie wiedziałem nawet czy mnie zauważyła ta, która tak nagle zapanowała mi w sercu i w myślach. Czułem jednak pewną wdzięczność dla niéj za to, że owego muzykusa nie kochała i nigdy kochać nie mogła. Już go wtedy nienawidziłem najszczerzéj, czułem pewien żal do niego za to, że smiał o jéj rękę się starać.

Pomimo mojéj tęknoty, gdym bulwar opuścił lżéj mi się zrobiło na sercu, a sumienie zwolna się uspokoiwszy przestało mi moję niedyskretność wyrzucać.

— Nigdy jéj pewnie nie zobaczę, — myślałem wracając do domu. — Nie wiem kto ona jest, ani jak się nazywa... słyszanych tajemnic nie zdradzę. Cieszę się jednak z tego, żem znalazł dosyć energii aby się oddalić. Takie mimowolne podsłuchiwanie wcale nie jest szlachetnem...

Rozmyślając w ten sposób doszedłem do swego mieszkania. Obraz nieznajoméj na chwilę nie ustępował mi z myśli, a w sercu pozostał na długo.

(Ciąg dalszy nastąpi)

GDAŃSK.

(Ciąg dalszy).

Z innych kościołów w Gdańsku uwagi godne: kościół ś. Katarzyny, uważany za najstarszy w tém mieście, gdyż w XII wieku zaczęto go budować, a w XIII go skończono. Miało przy nim niegdyś sprawować służby Boże 80 księży i 14 kanoników. Budowany jest w tak zwanym stylu baltycko-słowiańskim. Na wieży znajduje się sławny zegar, w którego skład wchodzi 35 dzwonów i dzwonków. Dawniéj co godzinę występowało dwunastu apostołów.

Kościół ś. Trójcy, ozdobiony wieżyczkami, należy do najpiękniejszych budowli Gdańska. Zbudowany w XV wieku. Obok jest kościołek ś. Anny, w którym dotąd odprawia się ewangielickie nabożeństwo w języku polskim. Tu kazał zasłużony Mrongowiusz, który się usilnie starał o zachowanie polszczyzny w Gdańsku i w okolicy. Uczył po polsku króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV. Wydał wiele książek polskich i ułożył dobry słownik polski i niemiecki.

Kościół ś. Jana ma pochodzić z XIV wieku, atoli w XV wieku dopiero został ukończony. Piękne organy i starożytny ołtarz zwracają tu uwagę. Te dotąd wymienione kościoły są protestanckie. Z katolickich uwagi godne:

Kościół ś. Mikołaja czyli podominikański ma pochodzić z XII wieku. Pobożna tradycya głosi, że założył go ś. Jacek. Świątynia ta pamiętną jest w dziejach Gdańska. Sławny jarmark Dominika, po dziś dzień trwający, wziął początek z odpustu tego Świętego. R. 1410 podczas tego jarmarku wyrznęli Krzyżacy 10,000 Pomorzan.

Kościół ś. Brygidy odznacza się wielką starożytnością. Małym jest kościołek czyli tak zwana królewska kaplica, wznosząca się przy kościele Panny Maryi, do któréj założenia przyczynił się król Jan III Sobieski i dla tego powstała nazwa królewskiéj. Kościół pokarmelitański nie odznacza się niczem ważniejszem, godzi się jednak wyszczególnić, że tu odbywają się polskie kazania. gdy w kościele ś. Mikołaja tylko trzy razy na rok polski język się odzywa. Na przedmieściu Szotlandzie wznosi się piękny kościół pojezuicki, a w Nowymporcie nad morzem zbudowano kościoł katolicki.

Ze świeckich budowli najważniejszym jest dworzec Artusa, służący dziś za giełdę kupiecką. Jestto pod każdym względem gmach widzenia godny. Ile tu pięknych pamiątek polskich. Uwagi godnym jest posąg Kazimierza IV Jagiellończyka, prawdopodobnie współczesny. Miłe uczucia obudza chorągiew z napisem: *Vivat Joannes, rex Poloniae.* Wielkiego znaczenia jest obraz, przedstawiający oblężenie Malborga przez Polaków z czasów Kazimierza IV. Sąd ostateczny na ścianach u góry wymalowany jest niepospolitéj wartości.

Osobliwością Gdańska jest wysoka brama, o któréj powiedział jakiś Gdańszczanin: „Cesarz Mikołaj ma wspaniałe skarby, ale takiéj pięknéj bramy jednak nie posiada.“ Rzeczywiście jestto szczególna budowa.

Pięknym jest ratusz gdański, pamiętny nietylko w dziejach Gdańska, ale i Polski. Rozpoczęto jego budowę w XIV wieku, a w XV ukończono. Smukła wieża jest 264 stóp wysoka, a na jéj szczycie znajduje się posąg króla polskiego Zygmunta, zdaje się trzeciego. Ratusz należy do najpiękniejszych ozdób Gdańska. Archiwum Gdańskie posiada ważne dokumenty do historyi polskiéj.

Nie godzi się téż pomijać pofranciszkańskiego klasztoru, służącego za muzeum osobliwości gdańskich. Znajdują się tu ciekawe zabytki.

Są jeszcze różne inne ciekawe i pamiętne budowle, ale ograniczymy się już tylko na wymienieniu arsenału i miejskiéj biblioteki. Ta ostatnia znajduje się w dawnym kościele ś. Jakóba, który przez wybuch prochowni został nadwerężony, a następnie na bibliotekę przebudowany. Biblioteka założona była 1590 r. Są tu ciekawe i rzadkie książki polskie, np. Biblia Radziwiłłowska, druki polskie akatolickie itd. Otwartą jest biblioteka co dzień od 2–4 godziny po południu. Za dobrém poręczeniem i do domu książek pożyczają. Znajdują się tu i nowsze dzieła ważne i kosztowne, do dziejów Polski się odnoszące.

(Dokończenie nastąpi)

Kilka ciekawych a rzadkich zwierząt.

Pragniemy raz po raz zwrócić uwagę na Historyą Naturalną, podając ryciny uwagi godnych zwierząt. Chętnie zamieszczalibyśmy wspaniałe illustracye, ale że podług stawu sypie się groblę, więc umieszczamy co możemy.

Otóż tedy na 141 str. widzimy najprzód ptaki z gatunku jaskółek, tak zwanego kozodoja czyli lelka (*caprimulgus eu-*

ropaeus). Zwany dla tego kozodojem, ponieważ dawniéj panował przesąd, że wyssysał krowom i kozom mleko, chociaż to bajka wierutna, gdyż ptak ten żywi się wyłącznie owadami, za któremi zapędza się nawet do stajni. Ztąd powstało mniemanie, że szuka mleka. Kozodój jest ptak nocny. Przebywa najczęściéj w lasach iglastych, a mianowicie w pobliżu łąk i stawów. Jest u nas dosyć rzadki, co ztąd pochodzi, że samica znosi tylko dwa jaja, które wysiaduje na ziemi, a przytem drapieżne zwierzęta pożerają pisklęta i stare ptaki.

Ten ptak na prawo z pletwiastemi nogami zowie się albatros (diomedea exulans). Przechodzi on wielkością łabędzia. Barwy jest białéj i szaréj. Żywi się rybami. Jest to bagatelą dla albatrosa zanurzyć się w wodę, wyciągnąć rybę ważącą 5 funtów i połknąć ją od razu. Albatros nigdy się nie pokazuje na oceanie antlantyckim, jest zaś bardzo pospolitym przy Ameryce Południowéj, na Oceanie Wielkim i Oceanie Lodowatym Północnym.

Argonauta czyli żeglarz (*argonauta argo*) należy do nader charaterystycznych morskich zwierzątek, spokrewnionych z ślimakami. Posiada on także domek, ale ciało jego nie jest ściśle spojone z skorupą, jak u innych muszlowatych. Ztąd toczył się długo spór o to, w jaki sposób tworzy się domek żeglarza. Żyje to zwierzątko w morzu Śródziemném.

Niebezpieczną dla ludzi w morzu rybą jest ludojad czyli haj (*carcharias melanopterus*), który żyje przeważnie w morzu Śródziemném, pojawia się téż w oceanie Atlantyckim, ale nie ma go prawie wcale w Baltyku. Długość jego wynosi 16 do 30 stóp. W pysku 8 do 10 stóp szerokim znajduje się sześć rzędów gładkich, trójkątnych, karbowanych, dwa cale długich zębów, które są tak ostre, że ludojad od razu może przeciąć człowieka. Jest to ryba bardzo żarłoczna. Podczas walki morskiéj uwijają się ludojady około okrętów i połykają spadających w wodę majtków. Niejednemu kąpiącemu się w morzu ugryza haj rękę lub nogę.

Ryba piszczałka (gomphosis viridis) tak zwana, że ciało jéj istotnie ma pewne podobieństwo do tego przedmiotu. U ryby téj zwraca szczególnie uwagę głowa i ogon, które razem wzięte, daleko są dłuższe od ciała. Sama głowa, któréj kształt jest czworoboczny, wynosi trzecią część długości ciała. Ogon zakończony jest grubą, łatwo gnącą się szczeciną. Żywi się ta ryba owadami i małemi rybkami, jest zatem drapieżną. Dochodzi do 3 stóp długości. Barwy jest brunatnéj, połyskującéj, skrzele są piękne czerwone. Żyje tylko w morzach południowych, a mianowicie przy Brazylii.

ROZSTAJNE DROGI.

Do.........

Myślą niejasne,
Obrazem krasne:
Jaka ziemia, taki krzew,
Jaka doba, taki śpiew.

P.

Pobojowisko, zasłane Tatary,
Ale tu, owdzie, i swymi;
Słońce w dalekie znika mgły i jary
Żar wiosek upada: – dymi.

A tam towarzysz pancernego znaku,
Zaduman czuwa samotny:
Kopja u toku, a miecz na temblaku,
Sępich skrzydeł szum łoskotny.

Zamilkł mu z ramion — bo i pan Szelicha,
Bez mała słup dziś bez duszy;
Gdyby nie serce co przez usta wzdycha,
A dłoń co czasem łzę suszy.

Cobądź powodem rycerza boleści,
W rozpacz nie wije się łonem;
Bo kraj dokoła swobodą szeleści,
Chramy brzmią słowem zbawionem.

— „A Waści baczę, coś tam nie pacierze
„Na uściech wieczora mroki?
„Chęć skarcić twardziéj taki despekt bierze?.."
Zagrzmiał Hetman groźno-oki.

Miałżebyś ty, Wodzu zbyt surowy,
Tak srogo łająć husarze
Gdy z czaty ten ów wzrok poniósł w parowy,
W dni innych aniwersarze?

— „Ta Mociumdzieju! czyż i tu zawadzi?
„Przysłowia lubię, a marzyć....
„Gdy nie lża prawić nie swojéj czeladzi,
„Widzi Bóg, lepiéj — niż skwarzyć."

— „ „*Per modum* złotą treść w skarbcu przechować,
„ „Dopóki doba się sierdzi,
„ „A z wierzchu słowem by łątką pustkować
„ „Aż Pan Bóg prawdę zatwierdzi?" "

— „A Mociumdzieju, to już za mistyczne,
„Mości Xięże Jubilacie?
„ „Bo, Kolatorze, *per modum*, co śliczne,
„ „Sfinxem bywa i w Senacie." "

Będzież i dla Cię, Myślicielu drogi,
Sens tych tutaj rozgoworów?
Nie sądzę; nie od dziś rozstajne drogi,
Trudu a nieba przestworów.

13 Lipca 1879.

Od Krotoszyna.

Uwagi Krytyczne
E. Calliera
nad
Złotą Księgą Szlachty Polskiéj,
ułożoną i wydaną przez
Teodora Żychlińskiego.

IX.

Bobrowniccy herbu Doliwa. Boruccy herbu Rola. Biegańscy herbu Prawdzic. Boglewscy herbu Jelita.

Autor Złotej Księgi, w przypiskach swoich, podaje zwykle wybitniejsze z odnośnego domu postacie, nie troszcząc się o to, w jakim one stopniu pokrewieństwa, lub w ogóle stosunku stoją do osoby, którą tym sposobem zamierza ilustrować. Wystarcza mu w takich razach wspólność nazwiska, nie zawsze herbu, a za Niesieckim powtarza, co uważa za stosowne. Że zaś przy dzisiejszym stanie nauk i oświaty tego rodzaju przypiski czytelnika nie zadawalniają, rozpisywać się o tem nie mam potrzeby; to też pomijam Aramowiczów. Bajerskich, Balów, Bielińskich, Błeszyńskich, Bobrowskich i innych, ograniczając się na kilku następujących uwagach.

* * *

W przypisku 33, na str. 374, odnoszącym się do Katarzyny Bobrownickiej, starościanki Przedborskiej, trzeciej żony podkomorzego Żychlińskiego, podaje za Niesieckim Jana Kazimierza i Stanisława Bobrownickich.

Przy uważniejszem nieco czytaniu byłby autor między Bobrownickimi herbu Doliwa, w herbarzu tegoż Niesieckiego, z którego wypisał trzech tegoż domu członków, znalazł jeszcze czwartego t. j. Stefana, chorążego Bracławskiego, *starostę Przedborskiego*, jeżeli nie

rzeczywistego, to przypuszczalnego ojca *Starościanki Przedborskiej*, t. j. wspomnianéj powyżej Katarzyny z Bobrownickich Żychlińskiej.

* * *

Przy Boruckich Roliczach podaje autor dwóch tylko kasztelanów, tyle ile Niesiecki i Kosiński, t. j. Piotra w r. 1630 i Ludwika, zmarłego r. 1731. Przypuszczam, iż nie wiedział, że Encyklopedja Powszechna wykazuje jeszcze trzeciego, t. j. Mikołaja, który w r. 1552 mianowany chorążym Brzeskim, został r. 1588 kasztelanem Konarskim, — inaczéj bowiem nie byłby omieszkał ilustrować nim Boruckich.

Borucki Jan, z przydomkiem Nosek, chorąży Brzesko-Kujawski, miał dwie żony; p. Żychliński wymienia tylko Annę Dąmbską, pomijając „Szubską albo Szczawińską," jak mówi Paprocki.

Adama Boruckiego nie znają nasi heraldycy i autor Złotéj Księgi nie wiele wie o nim.

* * *

W monografji Grabowskich Zbiświeczów, na str. 81, zachodzi jakiś nieokreślony bliżéj „sędzia" Aleksander Samuel Biegański herbu Prawdzic, który ożenił się z Barbarą Juljanną z Grabowskich, matką Stanisława Biegańskiego, spowiednika Marji Leszczyńskiéj.

Zdawałoby się że p. Żychliński ma jakąś predylekcją do Prawdziców! Stupnicki liczy tego spowiednika do Leszczyców, Bobrowicz, dopełniacz Niesieckiego, zamieszcza pod Biegańskimi herbu Leszczyc odnośny przypisek Krasickiego. Jeżeli zaś Stanisław Biegański był Prawdzicem, autor Złotej Księgi powinien był zwrócić na to uwagę czytelnika i twierdzenie swoje poprzeć jąkąkolwiek powagą lub dokumentem. Tego p. Żychliński nie tylko że nie uczynił, ale wprowadzając do herbarzy nową osobistość, jakiegoś „sędziego" Aleksandra Samuela dwóch imion Biegańskiego herbu Prawdzic, niż bliższego powiedzieć o nim nie chciał, lub nie umiał.

Niesiecki wykazuje wprawdzie Samuela Biegańskiego Leszczyca, który r. 1697 pisał się na elekcję Augusta II z województwem Poznańskiem; nie śmiem nawet przypuszczać, żeby to mógł być naszego autora Aleksander Samuel Prawdzic.

* * *

Jeżeli p. Żychlińskiemu chodziło o ilustrowanie rodzin w przypiskach do Złotej Księgi, nie pojmuję, dla czego nie wypisał z znanego mu Przewodnika Heraldycznego, co tam podaje Kosiński o Boglewskich herbu Jelita, t. j. „Dawna Mazowiecka rodzina; z niej 2 wojewodów i 3 kasztelanów, 1343—1620."

Natomiast wylicza autor Złotej Księgi w odnośnym przypisku trzech tylko senatorów, pomijając pierwszego z nich i ostatniego.

Pierwszym z nich kasztelanem Czerskim był r. 1344 Panątka z Boglewic herbu Jelita, wykazany w Encyklopedji Powszechnéj, a pominięty w Morawskiego poczcie kasztelanów Czerskich. Tego Panątkę niezawodnie policzył Kosiński do Boglewskich.

Drugim z rzędu był Sławiec z Boglewic od r. 1406 do 1424; p. Żychliński podaje rok 1403 wbrew powagom, jakiemi są Niesiecki, Święcki, Morawski i Encyklopedja Powszechna. —

Trzecim był Jan z Boglewic w r. 1452.

Pierwszym z Boglewskich wojewodą Mazowieckim był Mikołaj ok. r. drugim tegoż imienia w r. 1620.

Tego drugiego wojewody nie wymienił p. Żychliński, a to ponieważ Niesiecki niewyraźnie o niego potrąca. „*Historia Sapieha*, mówi przywiedziony heraldyk, wspomina już bliższych czasów Mikołaja Boglewskiego, wojewodę Mazowieckiego, którego córka miała się dostać w małżeństwo Mikołajowi Sapieże, wojewodzie Nowogrodzkiemu."

Wspomniany powyżej zapisek Kosińskiego był powinien spowodować autora Złotej Księgi do sumienniejszych nieco poszukiwań. Z krzywdą Boglewskich i pokrewnionych z nimi po kądzieli Gąsiorowskich, według własnego rozumienia jego, pominął dwóch senatorów, których Kosiński liczy do Boglewskich herbu Jelita.

Sprostowanie natomiast Niesieckiego, zawarte w odnośnym przypisku, że heraldyk ten mylnie mieni Teresę z Boglewskich małżonką kasztelana Andrzeja Gąsiorowskiego, zamiast Macieja, przyjmuje się z wdzięcznością i z życzeniem, ażeby Złota Księga w przyszłości więcéj tego i innego rodzaju dostarczała sprostowań.

TRYOLET.

Swą miłością dla Ojczyzny,
Polak wiecznie sławnym będzie;
Ciężkie więzy, krwawe blizny,
Znosił chętnie dla Ojczyzny;

Czy do Włoch czy nad Nil żyzny;
Z takim biegł zapałem wszędzie,
Że miłością dla Ojczyzny,
Polak wiecznie sławnym będzie.

B. P.

ŁAMIGŁÓWKA.

Ułożył W. Majdewicz z Drezna.

K o c h a n o w s k i
K o c h a n o w s k
K o c h a n o w s
K o c h a n o w
K o c h a n o
K o c h a n
K o c h a
K o c h
K o c
K o
K

Wiele razy da się nazwisko tego znakomitego męża przeczytać?

Teatr Polski w Poznaniu.

Najpiękniejsza polska opera: *Halka* przedstawioną będzie w dniu 3 Maja br. na benefis p. Compita. Sztuka sama przez się dla swéj niezwykłéj piękności ściągnąć powinna liczne tłumy do teatru, tym więcéj że przez to okażemy nasze uznanie p. Compitowi, który dobrém odśpiewaniem roli Jontka przyczynił się niemało, że Halkę z pomyślnym skutkiem można było przedstawić. P. Compit odznaczył się nader zaszczytnie w operach: Cyrulik Sewilski, Wanda i Ładne Kobietki, dla tego też jako główny filar naszéj opery zasługuje na żywe nasze poparcie. Jest jeszcze inna okoliczność, któraby nas powinna zachęcić do zapełnienia teatru w Sobotę. Oto p. Compit jest Czechem, a zatem my Polacy jako Słowianie powinniśmy w nim uczcić Brata Czecha i przez to okazać Czechom, że ich cenimy i kochamy. Czesi w Pradze chętnie widzą polskich artystów i popierają ich usilnie, a zatem popierajmy i my Czechów, gdzie można. Mamy tedy niepłonną nadzieję, że dnia 3 Maja będzie polski teatr od dołu do góry szczelnie zapełniony o ile że już tylko przez krótki czas towarzystwo dramatyczne u nas zabawi.

Podniesienie Kości Ś. Stanisława Szczepanowskiego

r. 1253. Poznań w komisie W. Simona.

Jestto mała książeczka, opisująca kanonizacyą ś. Stanisława wierszem Cena 25 fen. Piękne jest godło:

Jakośmy z wiary zostali narodem,
Dla wiary poszli na krzyż i skonanie:
Tak znów pod krzyża i wiary przewodem
Wstaniem, bo wiara daje zmartwychwstanie.

„Lech" wychodzi co sobotę w Poznaniu. Przedpłata ćwierćroczna wynosi na pocztach 2 marki, roczna wprost w redakcyi 8 marek, dla Austryi 5 złr.. dla Ameryki 3 dolary. W Poznaniu dla tych, co sami w ekspedycyi (ul. Wodna nr. 15) odbierają, ćwierćrocznie 1 m. 50 fen. Listy dochodzą pod adr. *Lech Poznań*.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.